X. Nikodem Ludomir Cieszyński.

POETA MIŁOŚCIWEJ ZADUMY.

(EMIL ZAGADŁOWICZ).

Odbitka z „Roczników Katolickich"
na rok 1929.

X. Nikodem Ludomir Cieszyński.

POETA MIŁOŚCIWEJ ZADUMY.

(EMIL ZAGADŁOWICZ).

Odbitka z „Roczników Katolickich"
na rok 1929.

Drukarnia Diecezjalna w Łomży.

Poeta miłościwej zadumy.

(Emil Zagadłowicz).

„Nie jest-ci życie sprawnym jeno mechanizmem
nie w śrubach, nie w sprężynach jego moc się kryje;
kto nie stanie w płomieniach ponad egoizmem,
kto się nie rozda wszystkim—nie żył i nie żyje!"

Dwudziestomiljonowe, tradycjami i w wielkiej części przekonaniami i życiem katolickie społeczeństwo musiało się wsłuchiwać, kiedy szumiała nad niem pieśń orla i brzemienna, w głuche i głośne zgrzyty, które szarpały za trzewia zwłaszcza naszej młodzieży i sączyły do serc krople trucizny niechrześcijańskiej. Tetmajer zmysłowością rozedrgany i za Nirwaną tęskniący, hasłami socjalistycznemi rozkołysany, kujawską, chropawą dłoń buntu przeciw niebu wznoszący Kasprowicz, który nawet w „Księdze ubogich" nie mógł się zdobyć na szczery żal, Wyspiański kłoniący głowę równocześnie przed Chrystusem i przed Apollinem i rozgwar rozflirtowanego salonu wnoszący do katedry wawelskiej nie mogą chyba mieć roszczeń, by stawiać ich obok takich katolików-twórców jak Krasiński czy Norwid, poeta catholicissimus. Znowuż Rydel, szczerze katolicki, ale chyba nie godzien wyższych kręgów Parnasu. I tak nie było nikogo z najzdolniejszych, któryby wiódł nas jako katolik w nawściąż roztwarte wierzeje Polski już wolnej, co „zbyła więzów, ran".

A nawet w chaosie powojennym, wśród którego tylko uszu wysubtelnionych dochodziły dźwięki

nowej już harfy, śpiewały i charczały coraz częściej, coraz donośniej, coraz przemożniej głosy żydowskie. I groziło już to, że przy sercu Euterpy z „polskich” poetów zasiądzie najbliżej semicki Juljan Tuwim, autor „Czyhania na Boga”, a najgłośniej wtórzyć mu będą na polskiej lirze inni synowie Izraela jak półżyd Antoni Słonimski, Józef Witlin, Jan Stur i arcybluźnierczy Anatol Stern. Na szczęście minęło już nieco to niebezpieczeństwo i jakkolwiek „Wiadomości Literackie” Mieczysława Grycendlera-Grydzewskiego są jeszcze najpoczytniejszem pismem literackiem, to jednak obok żydowskich czy żydom usłużnych skamandrytów coraz wyraźniej zaznaczają się czysto-polskie kierunki między innemi i „Czartak” beskidzki.

Założycielem jego jest Emil Zegadłowicz, poeta miłościwej zadumy. Czy może on będzie tym naszym, katolicko-polskim poetą? [1]). Poświęcić tu chcemy kilka impresjonistyczno-ekspresjonistycznych refleksyj, zwłaszcza jego liryce.

Proteuszowe widocznie oblicze tego beskidzkiego poety, bo dramatyczna jego twórczość odmienne już zdradza znamiona. Niesamowity bowiem tragizm starogreckich legend i tragedyj klasycznych osobliwie kręgu tebańskiego rozpiera jego dramaty czy to współczesne czy historyczne. Krwawa i zbrodnicza groza powiewa z jego sceny tem straszliwsza, że nowoczesnemu widzowi trudno już oswoić się z Mojrami. To też dziewczyna w żądzy chciwości dusząca starego

---

[1]) Dziwna jest dusza twórcza poety, niekiedy wyraziście niekiedy tylko mgliście katolicka. Co do Z. uderza pewna mglistość, a nawet powściągliwości w stosunku do katolicyzmu i nieświadomość czy politykowanie. W r. 1928 miał on w bibljotece uniwersyteckiej wykład na tem: „Religijność w naszej poezji”. Jakkolwiek wybrzmiewała ona u nas wyraźnie i często na samych szczytach w duchu katolickim, prelegent ani nie wspomniał w ciągu całego wykładu o katolicyźmie czy o jakiejś religji dogmatycznej. Przy otwarciu Teatru polskiego w Poznaniu 28 września 1928 r., jako kierownik jego literacki powiedział on w swojem przemówieniu i te słowa, obrażające przekonania katolickie:

„Dziś, gdy mała moda o rzekomym upadku teatru jest przedmiotem rozmów kawiarnianych — z całym naciskiem

ojca, współwinna w zamordowaniu kochanka, podpalająca chatę, w której ginie, („Lampka oliwna“ z 1925 r.) czy też małżonek uwikłany w stosunek kazirodczy i nożem zabijający żonę („Głaz graniczny“ 1925 r.) są nam jakoś obcy i nie bardzą „rówieśnią się“ sercu poety „słodkiemu jak miód”. To też błądząc po chatach dolin bezkidzkich i szukając krwawego blasku „Lampki oliwnej”, niebardzo wierzyłem, że trzeba było aż takiemi zbrodniami beskidzkiej wsi się popisywać, choć mi mówiono, że zdarzają się tam szczególnie zbrodnicze typy. Za to ostatni dramat, „Betsabe“ (1926 r.), mający za osnowę znane zbrodnie królewskiego psalmisty, jest prawdziwym „wysmugiem” tej duszy poetyckiej, która w złocistą śrężogę mistycyzmu grąży grozę Dawidowych komnat.

Lecz pospieszmy w dobrotliwy i wonny cień „Domu jałowcowego!”[2])

Olbrzymi ten zbiór, skupiający w sobie cały szereg zbiorków, częściowo już dawniej wydanych, nosi nazwę ostatniego tu zamieszczonego wiersza. Czy dobrze się stało, że wszystkie te zbiorki połączono w jeden pod mianem tego pięknego, mistycznego wiersza? Czy szereg wierszy nie odskakuje od pięknego, podniosłego i zwartego w sobie tonu całości? Mamy tu na myśli „Kolędziołki Beskidzkie”, wydane już dawniej w archaizowanej szacie 1923 r, w Wadowicach. Rozumiemy wszelką swobodę poetycką i nawet swawole ekspresjonistyczne czy futurystyczne, byle w tem była poezja, duch, pomysł, dowcip czy fantazja, ale dalibóg jak kiedyś takiego

---

stwierdzić trzeba i przymomnieć, że teatr jest wyrazem instynktu ludzkiego, jest zbiorowem zespoleniem duchów i czemś więcej jeszcze: najwyższą formą religijnego doznania — a gdy już o tem mowa, trzeba i to zaznaczyć, że podczas, gdy religijne formy wypowiadania się skostniały w obrzędowej tożsamości — teatr w swej sekularyzacji odkrywa buntowniczą insurekcją formy wciąż nowe i dalsze — i nie jest może marzeniem jałowem przypuszczenie, że wielkie odrodzenie ludzkości, odrodzenie etyczne, zdrowe i młode pocznie się nie gdzieindziej jak właśnie w teatrze”. (Według „Dzien. Pozn.”)

[2]) Emil Zegadłowicz, Dom jałowcowy 1920 — 1926. Warszawa 1927, str. 338.

papierowo-mglistego „Odejścia Ralfa Moor'a" (1919 r.) nie mogliśmy uznać za wartościową poezję, tak teraz i tym Kolędziołkom niema się co cieszyć. Takie piosenki „o księżycu pod beczką kapusty", w którym jest „coś więcej jeszcze niż śmieszne zapusty" albo „o zalotach komarowych", gdzie to „kurjer i smęt z arjostem do mety — baczność!—goni" albo „o lasce kuśdykującej przez sąsiedzkie pole" albo „o panbożym złodzieju", na którego niby „Panbóg z pod powały ziewa i patrzy", uważaćby raczej trzeba za jakieś nudne, niesmaczne, niekiedy nawet nieco bluźniercze ględzenie czy jakieś łamigłówki wierszowane czy ćwiczenia niedojrzałe poety, przekomarzającego się z swoją irracjonalną, koziołkującą fantazją. Jeszcze nieliczne dźwiękonaśladowcze wiersze Tuwima jakoś interesują. Kto właśnie zaintrygowany dziwacznemi napisami tych wierszowanych Kolędziołek zacznie na pierwsze je czytać, gotów zniecierpliwiony książkę grzmotnąć w kąt, aż się rozleci.

Ale na Boga, niech tego nie czyni, bo nabrałby fałszywego mniemania o poecie i pozbawiłby się tej radosnej rozkoszy, jaka się sączy z jego „Kantyczki rosistej" czy „Gorzkich żali" czy „Godzinek" czy „Zwiastowania". Oto z zieloności i modrości tych poezyj wynurzy się tedy ku tobie cichym smętem zadumana, a częściej zachwyceniem wniebowzięta, uśmiechem dobroci rozjarzona twarz i pójdzie ku tobie jakoby z zaświatów gędziebne „pieśnienie się", takie ciche, takie rzeźkie, takie podniosłe, jakiego jeszcze nie słyszałeś w naszej literaturze. Jeżeli które poezje dźwiękowo naśladują śpiew gregorjański, to właśnie te przerozmaite natchnionego poety beskidzkiego.

W jawie to czy śnie

gwarzyły o tem mchem brodate pnie
w ojczystym borze—kiedyś — dawno — gdzieś —
że wśród gór skryta, zapomniana wieś
zbudzi się nagle, zerwie, zadmie w róg,
że oto SŁOŃCE wstaje! ZRODZON BÓG!

. . . .

We wieczność płynące drogi — !
W wieczność wiodące miedze — !
Idzie pielgrzym ubogi
I dźwiga ziemi wiedzę.

Od wieków idzie wciąż inny
W istocie ten sam przecie — ;
W gorliwości powinnej
Wszechświatem jest w wszechświecie.

Głównie dwa te zagadnienia: narodzenie Boga-człowieka w sercu ludzkiem i wewnętrzna, radosna odnowa ziemskiego wędrowca, który przez noc ciemną pątuje ku migotliwym gwiazdom wzwyż i ku płonącemu świtowi — stanowią główny nurt tej cichej, słonecznej rzeki poetyckiej. Są tu podźwięki z Mickiewicza, Krasińskiego, może i Kasprowicza, ale żaden z poprzedników nie przyglądał się tym zagadnieniom tak od wewnątrz, tak w zadumie mistycznej, przepromienionej łaską uświęcającą jak poeta beskidzki. Świadom tej winy, jaką obarczona ludzkość „u tysiąclecia bram", kiedy to „na rękach krew, na sercach pleśń, jak na głazie, co z szczytów padł i wrósł w przepaści piarg i gróz", błaga udręczon Boga: „przez mękę i znoje zsiniałe wargi wołają jak dzwony spiżowe, huczące w głuszy strasznej niebywałej: „PRZYJDŹ KRÓLESTWO TWOJE". Świadom swojej tęsknoty za tem królestwem, stojąc u progu, „który z miłością na rękach jak z niemowlęciem zbudzonem przejść jeno można tam" — „sam na sam z Bogiem rozmawia" i czyni to tak często i tak chętnie.

Lecz nie przestaje on na takiem ogólnym mistycyźmie, dziś znowu tak modnym i mętnym, tak rozwichrzonym, iż się nie wie, jakiego to boga poeta ma na myśli, czy starogreckiego czy nowoczesnego panteistycznego, lecz zagłębia się wyraźnie w dogmatykę i liturgikę katolicką. Zajmuje go szczególnie zagadnienie miłościwego Odkupienia i hojnego win przebaczania, stąd też staje przed nim Chrystus w najrozmaitszych wizjach:

„Człowieczy Synu
O Synu Boży —
Ofiarą czynu
Widziany w zorzy,

stąd stają przed nim i Bogarodzica
Koronowana
przez męczeństwo —
ogłaszasz najwierniejsza służko Pana
swe ponad wszechświat wzniesione macierzyństwo,

i Chrystusów Przesłaniec.

Prościłeś tę miedzę
poprawdzie marną —
którą przyjdzie On i przyniesie wiedzę
słodką i pożywną jak pszeniczne ziarno,

Biedaczek Asyzki.

Dusza idzie
jak święta mniszka,
zapatrzona w zwidzie,
każącego do ptaków świętego Franciszka

Rozumie się, poeta nie umie, nie jest i nie stara się być teologiem, znającym wszystkie arkana dogmatycznych zasad, lecz nikt z poezji nie będzie chciał chyba uczyć się teologji. Jednakże taka „Waleta beskidzka Arjan" zbytnio pewnie idealizuje tych najniebezpieczniejszych dysydentów polskich, a takie chwalenie „ud" Magdalenowych jest znowu za zuchwałe i swawolne.

Bądź jak bądź przez całe zbiorki, których tytuły już, jak Zielone święta, Przyjdź Królestwo Twoje, Kantyczka rosista, Godzinki, Zwiastowanie, na to wskazują, snuje się słodki zapach kadzidła kościelnego, wieje ten rzeźki wiew „z pagórów wieczystych", dzwoni skowrończany śpiew chwały Bożej.

A jeśli chodzi o wysłyszenie głównego tonu tych przerozmaitych pieśni, o nazwanie go jednym charakterystycznym wyrazem, o określenie zasadniczych znamion duszy twórczej, to powiedzieć można, że poezja beskidzkiego pieśniarza jest miękka, kształty jej są obłe jak obłe są góry beskidzkie, jest w nich jakaś

tkliwość kobieca, rozkochana w czarach przyrody, jakaś cichość mędrca, jakaś beznamiętność. Jest to poezja prawdziwie słowiańska, dzięki lekkiemu archaizowaniu języka, unosząca duszę na skrzydłach zadumy, jak Orkanowe „Drzewiej” w jakiś świat prasłowiański. Lecz niema tu już tej pogańskości jak u tamtego, raczej jakaś chrześcijańska, wszechmiłościwa dobroć miękkiemi powojami dłoni oplata wszystkich braci, cały wszechświat, iże przypominają się słowa psalmisty: „iustitia et pax osculatae sunt”.

I właśnie ta złocista-perlista radość życiowa, która pewnie nie szumi winem szampańskiem, ale rozlewa się łagodnym „wydźwiękiem perłowym", jakby powiedział Norwid, po twórczości Zegadłowicza, stanowi może tę najwartościowszą ich cechę. Możnaby jako refren niemal wszystkich, bo autor i przez łzy cierpienia się uśmiecha, wskazać na wiersz „O uśmiechu, przewodniku dobrym”, gdzie poeta mówi:

„Ty nie wiesz, jak bardzo potrzeba
komuś uśmiechu twojego —
więcej niż chleba
białego.

Więcej niż czegokolwiek na świecie
trzeba sercu wieści radosnej —
bądźże dla bliźnich jak dziecię,
jak dzień pogodnej wiosny.

Przypominając rosyjskiego poetę Fafanowa, a w przeciwstawieniu do naszej dawnej „Młodej Polski", umie poeta duszę obnosić jasną, żenąc z niej precz zwątpienie i rozpacz i zapalając na jej widnokręgu słońce, choćby dokoła panowała ciemność. Jest on tym najwspanialszym, najwyrazistszym przedstawicielem nowego okresu w naszej poezji, kiedy w wierszu „o świetlistym końcu drogi” tak oto śpiewa:

Jasność — i niema cienia
Jasność — i niema czerni!
Wszechświat się w światło przemienia
i w wieczność białą bezmierni.

Serca stają się jednem,
stopione w miłosnym cudzie —
i nad przestrzeni bezednem
lecą w ukojnem beztrudzie.

Tak, Zegadłowicz, ten największy poeta z współczesnych, choć nie można go nazwać wielkim, jest poetą nowoczesnym. Stopiły się, zlały się w nim te najnowsze, chaotyczne prądy, szarpiące za trzewia powojennej chwili i wydały rzeczywiście cudny dźwięk. Więc autor od zarozumiałej czy mglistej niezrozumiałości w wierszach, zamieszczanych na łamach poznańskiego „Zdroju", pewnie nie bez wpływu „Księgi ubogich" przeszedł do prostoty, lecz nie tej nużącej, starczej Kasprowicza, lecz tej nowoczesnej, swawolnej, szkoda, że za mało płodnej i zapładniającej.[1]

W języku i formie Zegadłowicza uderza nasamprzód ta szeroka, twórcza rozlewność. To język oryginalny, swoisty, takim językiem nikt nie władał, ani włada. Wsparty o podwalinę mowy rodzimej, gwary beskidzkiej i filar języka staropolskiego wyrasta jakimś nieznanym dotąd gmachem i stanowi odrębny styl. Nowotworów mnogo, ale niemal wszystkie strzelają z urodzajnego podglebia, są zdrowemi roślinami. Uderza szczególnie ten rys ekspresjonizmu, który w przeciwieństwie do impresjonizmu spowitego w roje przymiotników, używa więcj czasowników i przez to staje się żywym i jędrniejszym. A przytem są to często nowoutworzone czasowniki, które wyrwane z całości może rażą, ale w związku są wcale na miejscu: więc skowronki „dzwonią", „skowronią", wszechświat „się bezmierni", ziemia „się zazboży i zurodnieje", nieba „bezkresem słoneczniej ą, gwieżdżą się tą gwiaździstością", „wyżogwiezdne pieśnienie" i t. p. Przypomina tem Krasińskiego. Są też i dziwolągi, zwłaszcza w tych nieszczęsnych Kolędziołkach.

[1]) Jednak przy niesłychanej wydajności poety ta cichość i prostota sztuczna niekiedy jednostajnością nuży, są wiersze a nawet całe zbiorki, które z uczuciem nudy się odkłada, zbyt mało w nich krwi i życia.

Nowocześni poeci już w okresie impresjonizmu mieli wielką łatwość rymowania, która niezawsze świadczy o wysokim polocie, tak, iż niektórzy z ekspresjonistycznych pogardliwie i niesłusznie porzucali rymowanie albo puszczali się na połów takich półrymów czyli asonancyj, jakie dawniej prześmiewano w wierszach częstochowskich. Zegadłowicz uznaje i wyzyskuje znakomicie wartość rymu, bez którego jednak pewnie niema pełnowartościowej poezji polskiej. Lecz Boże, jak on tym językiem naszym cudnym cudnie włada! Przypomina najzupełniej tych wielkich wirtuozów słowa polskiego jak Zaleskiego, Słowackiego, z nowoczesnych nieszczęśliwego X. Antoniego Szandlerowskiego. Czytając te poezje ma się wrażenie, że autor je tworzył z niesłychaną łatwością, tak mu te słowa się snują i snują, jakby pod czarodziejskiemi palcami jakiejś baśniowej hafciarki układało się wmig najwzorzystsze przędziwo, tak mu te zdania płyną i płyną, jakby w złote południe po cichej tafli jeziora ślizgała się łódź ku zacisznej leśnej przystani, tak to wszystko brzmi i śpiewa jakby „pieśniły się" chorały gregorjańskie w jakimś prastarym, średniowiecznym klasztorze. Od tych poezyj bije poprostu żywiczna, orzeźwiająca woń naszych lasów smrekowych i rozszerza nowoczesnemu człowiekowi płuca.

Tym samym poetą miłościwej zadumy pozostaje Zegadłowicz w swojej, pierwszej powieści, a właściwie lirycznej autobiografji, w „Godzinie przed Jutrznią"[1]). Pogodny, rozkochany w przyrodzie i ludziach, filozofujący, mimo pewnego realizmu ciągle rozpoetyzowany kreśli przedziwną powieść.

Można odrazu powiedzieć, że takiej powieści nie posiada nasza literatura. Prus, Sienkiewicz i inni starali się wniknąć w dusze dzieci, ale opisywali dzieci już starsze, we wieku szkolnym. O dziecko maleńkie, w którym budzą się dopiero błyski pierwszej

---

[1]) Godzina przed Jutrznią, Żywot Mikołaja Srebrempisanego, Poznań, św. Wojciech, str. 376. — Z pod Młyńskich Kamieni, Część druga, św. Wojciech, (1928), str. 333.

świadomości potrącił Juljusz Kaden na pierwszych kartach swojego „Niezguły" (Lwów 1911), lecz tylko przelotnie. Na zachodzie, zwłaszcza w literaturze angielskiej wraca się częściej do tematu dziecka, żyjącego jeszcze pół we śnie pół na jawie.

Otóż takiemu dziecku jakoby studjum poświęcił Zegadłowicz w Żywocie, studjum bardzo szczegółowe i bardzo ciekawe. Trzeba bowiem wiedzieć, że w bez-mała całym grubym tomie snuje się opowieść o życiu kilkuletniego chłopczyka Mikołaja, który wychowuje się w cieniu dworu, w Porębie Murowanej, w Beskidach.

Więc jakże może autor tak długo się rozwodzić na tak nikły zdawałoby się temat, nie nudząc ani nużąc czytelnika? Otóż w tem właśnie tajemnica jego artystycznych zdolności, że to mu się najzupełniej udaje mimo takiej wątłej bezkrwawej, a nawet naogół bezłzawej akcji. Dziwnym sposobem opowiada sam najpierw w prologu o śmierci p. Michała Srebrempisanego w dworze Porębiańskim, a potem dopiero w sześciu księgach, to co się przedtem działo, malując jakoby w kinematograficznych obrazkach życie malutkiego Mikołaja i baśniowe niemal współżycie z otoczeniem. Więc przesuwają się przed oczyma naszemi dobrotliwy ojciec, dziwna matka Mikołaja, pani o srebrzystych, krótko strzyżonych włosach, gospodyni Antonina na tle swej kuchni i obory i „kurśmid" Jasiek ze swojemi końmi i szorami i druciarz ze swojem rzemiosłem i swoją filozofją. Trzeba bo-bowiem wiedzieć, że wszystko to działa potężnie na wyobraźnię kontemplatywnie i poetycznie uzdolnionego dziecka, więc wszystko to przedstawione do pewnego stopnia w pryzmacie tej bujnej, tęczami baśni rozelśnionej wyobraźni dziecięcej. Co chwilę budzi się też podejrzenie, że tem dzieckiem przedziwnem to sam autor, który albo rzeczywiście przeżywał takie słoneczne dni w takim zaczarowanym dworze, co według tradycji jest dawniejszym zborem albo zbliska znał taki dwór i swojego znajomego tak obdarzył swoją wyobraźnią.

Bądź jak bądź z całej książki wieje znowu ożywcze tchnienie, idzie ten cichy, lecz mocny zew: powróćmy na łono przyrody i spoglądajmy na życie oczyma dziecka, wielbiącego piękno i krasę codziennego dnia i ukochajmy wszystkie jego zjawy. „Niema postępu! Istnieje tylko wzwyżenie! Wzwyżenie — to znaczy stanięcie ponad egoizm. To cały trud wypracy. Człowiek poczyna się w momencie wielkiego, powszechnego miłowania. Bez tego spada poniżej sfery zwierzęcej i roślinnej — w chaos — w piekło... Z raju wyszedł Adam — pracownik, aby w pocie czoła i męce duchowej dotrzeć do nieba: miłości Boga, miłości człowieka, miłości przemian, miłości ogarniającej wszechświat. Droga wieczna zagubiona w bezmiarze" (str. 330).

Mimo tego filozoficznego i poetyckiego naświetlenia znachodzi się w książce mnogo realizmu, lecz nie jest to już realizm Zoli i jego naśladowców, to jakiś nowoczesny, zapachem poezji owiany, nie ściągający w błoto, lecz podnoszący ku słońcu. Dzięki temu realizmowi sprzęty, w których martwe życie umie się autor przedziwnie wczuwać, rośliny, zwierzęta, ludzie pozostają w wymiarze rzeczywistego życia. Znakomitą przysługę oddaje tu autorowi język: posłuszny i powolny jego twórczej woli i malujący barwnie a wnikliwie nietylko głębie duszy dziecięcej, ale i tajemne życie grzybów pokojowych, czy pękatego pieca, czy uprzęży odświętnej, a nawet roboczej. Lubowanie się w nowoutworzonych wyrazach, a zwłaszcza czasownikach dochodzi do szczytu i ciasnych „językoznawców" będzie urażać. My zaś więcej za złe bierzemy szafowanie cudzoziemskiemi wyrazami, które było można zastąpić swojskiemi; stać na nie takiego wielkiego pana, jakim jest beskidzki poeta.

Ludzi płytkich czy trzeźwych mogłaby ta ocena może odstraszyć, otóż tym krótko powiemy: książka mimo nikłej akcji jest zajmująca i napewno zostawi po sobie lepsze wspomnienie niż książki takich wyżeraczy tuku i miąższu życiowego jak Przybyszewski, Żeromski, Tetmajer, Kasprowicz i ich naśladowcy.

Wciągu r. 1926, kiedy pisał się już tom III, ukazał się drugi z dziwną i niettumaczącą się dostatecznie w dziele nazwą: „Zpod Młyńskich Kamieni". Mikołajek już podrósł nieco i stał się grzecznym chłopczyną, którego wyprowadza się do gości i który zaczyna nawet już pisywać liściki do gości i po rycersku zabawiać małą komisarzównę, której było Olga na imię. W rozszerzonym widnokręgu chłopczyka nad wiek rozbudzonego zwierciedlą się już coraz wyraziściej stosunki galicyjsko-lodomeryjskie. Na widowni pojawiają się Czesi, oficerowie, komisarzowa, X. Caneau, oryginał nieco, słowem jest wiew z szerszego życia. Na tem książka jednak nie zyskała. Nabrała raczej pstrokacizny, całe ustępy czy księga „Szlakiem straganów" są niestrawne, nieznośne, całe wtręty naukowe niepotrzebne, język słabszy, rzecz rozwlekła i niemal nudna, słowem zawód.

Zegadłowicz przekracza zaledwie próg wieku, od którego u Rzymian poczynał się „vir", a już takim[1]) może poszczycić się plonem. Czy wygląda z niego oblicze katolickiego poety? Tego nie można jeszcze powiedzieć, ani też, że są zadatki, zapowiedzi, iż przejdzie pod nasz sztandar. Co do twórczości zaś spodziewać się można, że jakkolwiek oddaliła się od ukochanych Beskidów i zamieszkała wśród urodzajnych równin nadwerteńskich, jeszcze więcej, mówiąc jego językiem, „koronić się będzie i kryształić".

---

[1]) U Fiszera i Majewskiego wyszedł 1927 r. zbiór przemówień i artykułów, przeplatany wierszem p. t. „W obliczu gór i kulisów", a 1928 r. ozdobnie wydane „Flora Caritas, Sofia", teatr Polski w Poznaniu grał jego miłe i ciekawe „Jasełka"; teatr Nowy „groteskę jarmarczną" p. t. „Łyżki i księżyc", można powiedzieć, że głupią i nudną; z warsztatu wyszło tłumaczenie t. zw. „Ur-Fausta": które ma być wydane wkrótce luksusowo i z ilustracjami p. t. „Małgorzata"; w przygotowaniu misterjum p. t. „Wigilje", stanowiące epilog do zagadnienia faustostowskiego; a pod piórem przekład baśni fantastycznej Calderona p. t. „Cyrce". Przed rokiem wyszedł liryk „Dziewanny". Z. był też kilka miesięcy redaktorem „Tęczy", lecz mało wniósł w nią życia i płodności.